

>>>>>>>>>>>>>>>

— Barry...? — mruknął.

Koniuszy się delikatnie napiął, wzruszył ramionami, ale i nie zaprotestował. Nawet jeżeli postawa Mai go ubodła, nie pokazał tego wyrażnie po sobie. Po chwili zostali sami.

— Mai!? — ponaglił James, gdy po minucie nie padło z jej ust ani jedno słowo.

— To jest... Naprawdę, James... Jak zacząć się na mnie gapić...?! — wydyszała z determinacją. — No dobra! On pierwszy złamał umowę! — Mnąc dłonie, ze spuszczoną głową, najpierw zastrzegła, by zaraz zacząć wyrzucać z siebie krótkimi, pełnymi goryczy zdaniami: — Żadnych durnych komentarzy! Nie chcę znać twego zdania! — Odetchnęła głęboko. — On nie może. Od początku. Ma problem. Jest impotentem...

— Przy tobie...?! — James nie wytrzymał.

— Wyobrażasz to sobie...?! — Popatrzyła na niego z rozbrajającą szczerością i naiwnością, o którą nigdy by jej nie podejrzewał. W jednej chwili dotarło do niego, że Mai, jaka by nie była i co by jej nie zarzucono, nie jest jednym: wyrachowaną kokietką, czy lafiryndą, lubującą się w sprowadzaniu mężczyzn na manowce. Mówiła dalej, jakby nie zauważając jego wtrącenia. — Na początku był spokój. Czasami na miękko. Nno tak, wiesz... Aż zaczął szaleć! A potem wyjeżdżać! Ot tak, już bez planu! I nie do pracy. Oj, na pewno nie...! Wracał w towarzystwie. Chwalił się mną. A potem wychodzili. A on się wściekał! Że się uśmiecham do innych! Że ich zachęcam! Że pewnie mam kochanka! Albo i kilku! Raz mnie uderzył... A zaraz potem wziął do łóżka. I było... Jak nigdy. Odkrył, że to go podnieca...

— A ciebie? — James sam nie wiedział, dlaczego o to zapytał. Chociaż, być może nie do końca, gdyż spotkał podczas rejsu kobietę, która pragnęła okładania jej pasem. Tam efekt okazał się jednak mizerny, gdyż po pierwszym, lekkim uderzeniu, Jamesowi przeszła ochota na cokolwiek i jedynym plusem dla niego z tego spotkania była wiedza, że i takie kobiety istnieją.

— Na początku — przyznała Mai naturalnie, nawet niezawstydzona. — Klapsy właściwie nie bolały. Krzyczałam dla efektu. I to mu wystarczało... — przerwała nagle, a rumieniec zakłopotania, gniewu i żalu, zaczął z wolna wypelzać jej na twarz. James nie poganiał. By było jej łatwiej, odwrócił nawet głowę w drugą stronę. Mai mówiła: — Potem wpadł na pomysł, by mnie przywiązywać do łoża. I już nie było bezbolesnych klapsów... Bił pasem. Na suknie. A potem rozbierał i robił... Już mi nie było... A potem i tego było mało. Zaczął zdejmować ze mnie okrycie i dopiero bić. I był gotów, jak mnie bił. Czasami nawet nie używał na mnie... — Mai znowu przerwała i zamilkła już ostatecznie. Tak, jakby temat został wyczerpany.

James, z zaciśniętymi zębami i pięściami, patrzył w strop stajni. Musiał się wziąć w garść, by cokolwiek móc jej odpowiedzieć. Bo z tych zdań wyczytał strach najprawdziwszy przed powrotem do poprzedniego życia.

— Przykro mi... — tylko tyle i aż tyle. I tylko po to, żeby ona nie pomyślała, że ją osądza albo może obwinia.

— Sprzeciwiłam się. — Kiwnęła głową, jakby uspokojona faktem, że on słucha i rozumie, co ona mówi. — Kilka razy udało mi się go powstrzymać. Kilka razy jemu- mnie... Ale ostatnio... Przeprosił. Był jakiś dziwnie miły. Zawarliśmy umowę. Ja nic nikomu, nigdy, on da mi spokój. A potem przyprowadził baro-

neta. Ten się chyba domyślał. Albo Thomas...? Baronet proponował wyjazd. Obiecywał opiekę, podróże i w ogóle. A potem... Mówiłam ci już. I gdy usłyszałam o pracy... Z mężem mam... Miałam umowę. Ja nic nie mówię o jego chorobie, on mnie zostawia w spokoju. — powtórzyła. — A teraz się zjawia. Po co? Po jaką cholere?! Nic dla niego nie znaczę! Chodziło mu o posag!

James się zaśmiał.

— I z czego ty rżysz?! — wybuchła, błędnie interpretując powód jego wesołości.

— Nie wierzę po prostu, że tylko o posag. Jesteś...

— A tak — zreflektowała się, jakby znalazła zagubiony naparstek. — Tak jakby, trochę, chłopcy na mnie lecą.

James chciał się zaśmiać ponownie, ale się powstrzymał.

— I jeszcze ona tam jest! — wykrzyknęła nagle.

— Kto?

— Pastorałka zakichana!

>>><<<

Pseudonim Klary Bachumer nie dotyczył bynajmniej pobożnej pieśni, ale biskupiej lagi, zwanej pastorałem. W tym wypadku, w rodzącym się w Jamesie zamiarze, użycia jej przeciwko Ildonowi. Mai, obawiając się Klary, nie wiedziała o rozmowie, która odbyła się między Jamesem a paniami. Wieczorem, dnia pierwszej musztry Marca.

Ledwie wrócił z karczmy, gdzie spodziewał się sobie popatrzeć i nie popatrzył, a tylko wypił z Lulu kielicha, został wezwany do gabinetu. Będąc pewnym, że chodzi o hrabiego, ujrzał zdumiony pomimo późnej pory, Marię i Klarę towarzyszące jego hrabinom.

— Musi pan to przerwać, panie Tager! — oznajmiła bez wstępu hrabina Kira, zgodnie z umową, którą przećwiczyli na taką dokładnie okoliczność.

— Nnie rozumiem...? — zająknął się idealnie. Tak przepłoszonym spojrzeniem omiatając kobiety, że Maria Pitter posłała mu błagalne swoje, ledwie powstrzymując się przed parsknięciem śmiechem. Dotarło do niego, dające mu wyraźnie do zrozumienia, że nie może przesadzać z nagłym ułożeniem się w pozycji grzecznego kundelka, bo, po pierwsze- ona nie zdierży arcyfarsy bez reakcji, a po drugie- Klara Bachumer widziała go przecież, ładującego w pysk szlachcica. Musiał przynajmniej spróbować się wyhamować.

— Myślimy, że rozumiesz doskonale, James...! — wtrąciła Natalie i jak wyczuł natychmiast, niespecjalnie grając. W starszej hrabinie, a i nie tylko, lecz w niej najbardziej, karczmiarne kontakty Jamesa musiały wzbudzać niesmak.

— Nie wolno mi wpaść na jednego do karczmy? — zbulwersował się po szczeniacku.

— Pracujesz w hrabiowskim domu, a twoje kontakty z panną Hill...!

— Nie spałem z nią! — Uderzył się w piersi, z miną męża przyłapanego na łajdaczeniu się z najgorszą flądą ze wsi. Maria odchrząknęła, James kontynuował: — Jak bum cyk, cyk...! — Maria nie wytrzymała, parszając cicho. — Pani mi nie wierzy. — Wręcz autentycznie się zasmucił, próbując ratować sytuację.

— Niekoniecznie. — Kobieta opanowała się szybko. — Ale, chociażby pan się zarzekał, to do tego zmierz, czyż nie...?

I to było w punkt. I na niby, i jak James zrozumiał po zastanowieniu się przez chwilę, także w rzeczywistości. Wstrzeźliwość nie leżała w jego naturze, pościł w towarzystwie kobiet tylko wtedy, gdy musiał. Jak na okręcie przy „zakonnicach”, zabawiających się już po kilku dniach w grę: „To ci zrobimy, jak już dorwiemy”, a po czym bolały go nie tylko lędźwie. Obecnie nie był jakoś specjalnie mocno wyposażony, ale po słowach wicehrabiny dotarło do niego, że chętnie z jakąś kobietą, by się pomigdał. Nawet bez najgłębszego z aktów, ale ot tak, dla poczucia bliskości. Wiedział jednak przy tym, że nie o Lulu mu chodzi, lecz także i to, że jednak Lulu, z braku odzewu tej drugiej, pewnego dnia mogłaby ją z powodzeniem zastąpić. A tak przynajmniej o niej mówiono.

Łatwa dziewczyna, małomiasteczkowa cichodajka. Popularna w karczmie, gdzie jeszcze nigdy, o dziwo, nie był świadkiem zdarzenia, które mogłoby plotki w malutkim chociażby stopniu potwierdzać. Lulu siedziała z mężczyznami do stołu, ale nie na ich kolana. Obejmowała swoimi, niedrobnymi dłońmi fundowane jej kielichy i czarki z trunkami, ale kolesie jej, już nie. Było to dziwne u kogoś, kto jest dostępny niemalże na zawołanie i James podejrzewał wieśniactwo o obcowanie z dziewczyną co najwyżej w snach i z każdym dniem coraz bardziej. Ale to nie zmieniało opinii o niej, która z jakiegoś powodu zaistniała. I tylko mógł się domyślać, kto ponosi w największym stopniu za to winę.

Lulu na nikogo się nie skarżyła, więc i nie miał powodu się wtrącać. Popijała, pozwalała na dostrzymywanie sobie towarzystwa. Śmiała się i to był chyba największy jej błąd- czerpała z życia z uśmiechem i z tego, co znalazła pod ręką, a nieszczęśnikom niezadowolonym z własnego, było to nie w smak.

— Nie, pani hrabino — odparł, mimo swych myśli. — Tylko z nią rozmawiam.

— Oj, chyba nie tylko...?

— Był pan u niej w domu... — odważyła się odezwać pani Bachumer. Na jej obliczu wyraźnie malowały się: niepewność i lęk, lecz także satysfakcja.

James odetchnął. Całe to przedstawienie, bez jej czynnego udziału, byłoby jedynie na wpół publicznym, niepotrzebnym jego karceniem.

— Widzę, że panie jednogłośnie, uważają mnie za rozpustnika.

Nastąpiło niby zamieszanie, kobiety zaczęły popatrywać na siebie- niby niepewnie i o mały włos to on by wszystko popsuł, a o Mai jeszcze nawet nie zaczępiono — ich milczące zakłopotanie, nie wyglądało ani trochę na udawane i miał ochotę głośno się roześmiać.

— Dobrze — powiedział grzecznie. — Ustalimy fakty...? — Uzyskał ostrożną aprobatę, skłaniających głowy pań. — Piłem z nią także w karczmie — niczego nie zdradzał, była to wiedza medialna. — A teraz

rączki na serduszka i odpowiedzieć mi na pytanie... — zawiesił głos. — Co panie by sobie o mnie pomyślały, gdybym dziewczyny nie odwiózł do domu, ale zostawił ją wstawioną w knajpie pełnej mężczyzn...?

— Cnotliwa kobieta nie powinna bywać w takich miejscach! — pewnie i pogardliwie oświadczyła Bachumer, a pozostałe, chcąc nie chcąc, szczerze ją poparły.

— Zgoda. — James się uklonił, w duchu posyłając wszystkie cnotliwe kobiety do diabła. Zdecydowanie nie był na etapie życia, w którym chciałby się z takimi bliżej zadawać. — Ale ja nie o to pytam. — Jego postawa wyglądała tak, jakby pochylał się do małego dziecka i mówił: — A ti, ti, niedobry... — Z uśmiechem zawierającym awersję do każdego, napotkanego bachora. Który, gdy odczytały, nie zdecydowały się na odpowiedź. — Uznałyby mnie panie za łajdaka — zrobił to za nie. — A tak na marginesie, to zauważyłem, że lubicie się panie pastwić nad niewinnymi, niżej urodzonymi. Lulu, Mai Ildon...

— Nie czepiamy się Mai Ildon! — zdecydowanie i zgodnie z planem, odparowała Kira. — Uważamy Ildona za niegodnego męża, a hrabia obiecał w liście, że o tym panie zasięgnie informacji.

— Och! Doprawdy...?! — James uwielbiał zwrot swojej zmarłej nauczycielki, zawierający dobrotliwe pokpiwanie i powątpiewanie. — Każda z was jest gotowa chronić Mai przed jej „niewiadomo” mężem, a przynajmniej do zebrania informacji o tej kanalii, niewątpliwie sługusa baroneta Bartona...?

— Każda! — oświadczyła mocno Natalie.

— Chętnie zdejmujemy z pana ten ciężar — dodała Maria.

— Pod pewnymi, wszak, warunkami! — zastrzegła pokrętnie Kira. — O wizerunek domu należy dbać całościowo. Zakończy pan rekreacyjne wypad do karczmy.

— Popieram! — Klara Bachumer uznała, że pomoże złapać Jamesa za... kark. — Nie może pan narażać hrabiowskiego domu na plotki.

Przystąpiła na pakt. Pomogła pozostałym paniom ustawić Jamesa do pionu. Postanowił dać im, a przede wszystkim Mai, trochę czasu, tym bardziej że miał ułatwione zadanie. Lulu go nie pociągała, jak choćby Marcie, Margareth albo ta cała „królowa” Rebeka. Pociągała go mniej nawet niż Kira, o której zaczynał myśleć wyłącznie jako o pracodawczyni-przyjaciółce i dużo mniej od Marii, na którą z kolei patrzył w duchu coraz bardziej zachłannie. Nie odstręczając go, po prostu niczego nie wywoływała. Ot, kumpela od kielicha, dobry, wesoły druh. Ale...

Nie podobały mu się kajdany. Obiecywał im wstrzemięźliwość wyłącznie dla... Barry'ego i Mai. Nic nie mógł na to poradzić, że widział ich razem, choćby i trzeba było nagiąć jakoś zasady. I miał z tego powodu pewne wyrzuty sumienia... Do czasu wizyty w stajni Mai.

>>><<<<

Zmierzał do gabinetu pewny swego i nie bez ciekawości. Pierwszym jednak, z kim chciał porozmawiać, był Bloom.

— W powozie ktoś jest. To nie baronet. Poruszył się raz i nieznacznie. Człowiek wysoce opanowany — otrzymał odpowiedzi na pytania.

Cdn.

6